Nazwisko HAUSNER

Imiona Roman Pseudonim

Z domu

Data urodzenia 12.06.1883 Miejscowość, kraj Lwów, Polska

Data śmierci 10.03.1947 Miejscowość, kraj Londyn

Lat życia

Adres cmentarza St. Marys cementary NW10

Źródła: Dz. P. 12.03.47; 15.03.47; 17.03.47; 18.03.47; 22.03.47;

Archiwum Osobowe Emigracji im. B. Jeżewskiego Biblioteka Polska POSK w Londynie.

Zawód ..... prawnik ..... **Tytuły naukowe** ..... Doktor .....

Rodzaj wojska ..... **Stopień wojskowy** .....

Odznaczenia .....

.....

.....



Przyjaciół i życzliwych, którzy pragną oddać ostatnią przysługę

Ś. † P.

ROMANOWI HAUSNEROWI

zmarłemu tragicznie w dniu 10 marca 1947 r. w Londynie zawiadamiam, że pogrzeb Jego odbędzie się 19 marca b.r. o godzinie 11-tej na St. Mary's Cemetery, N.W.10.
Wyprowadzenie zwłok z kaplicy przedpogrzebowej 5, Baker St., o godzinie 10.30 tego samego dnia. Przejazd z kaplicy na cmentarz samochodami.

ŻONA.

5337

Dz. P. nr. 65
17.03.1947

Dz. P. nr. 61
12.03.1947

Ś. † P.

ROMAN HAUSNER

ur. 11 czerwca 1883 r.,

zmarł 10 lutego 1947 r. w Londynie

o czym zawiadamia krewnych i przyjaciół zmarłego

ŻONA I RODZINA.

O dacie pogrzebu nastąpi oddzielne zawiadomienie.

5324

Wszystkim, którzy oddali ostatnią posługę mężowi memu

Ś. P.

ROMANOWI HAUSNEROWI

a mnie okazali w mym nieszczęściu przez pamięć o Nim tak wiele pomocy i współczucia składam tą drogą gorące podziękowanie.

Dz. P. 22.03.47

JADWIGA HAUSNEROWA.

5374

Dz. P. nr. 64
15.03.1947

Ś. † P.

ROMAN HAUSNER

długoletni dyrektor departamentu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, b. radca prawny kancelarii cywilnej Prezydenta R.P. w Londynie, radca prawny Rządu R.P., Kawaler Krzyża Komandorskiego z Gwiazdą Odrodzenia Polski, odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi i inn.,

zmarł śmiercią tragiczną dnia 10 marca 1947 r. w Londynie, przeżywszy lat 64.

We środę, dnia 19 marca o godz. 10.30 zwłoki zostaną przeprowadzone z domu przedpogrzebowego, 5, Baker Street, do kaplicy na St. Mary's Cemetery, N.W.10, skąd po żałobnej mszy świętej, która zostanie odprawiona o godz. 11-ej, złożone będą do grobu.

W zmarłym Polska traci obywatela wielkiej prawości o nieskazitelnym charakterze, jednego z najbardziej zasłużonych pracowników w służbie państwowej i wybitnego prawnika.

PRZEŁOŻENI, PRZYJACIELE I KOLEDZY.

5336

Ś. † P.

ROMAN HAUSNER

długoletni dyrektor departamentu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, b. radca prawny kancelarii cywilnej Prezydenta R.P. w Londynie, radca prawny Rządu R.P., Kawaler Krzyża Komandorskiego z Gwiazdą Odrodzenia Polski, odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi i inn.,

zmarł śmiercią tragiczną dnia 10 marca 1947 r. w Londynie, przeżywszy lat 64.

We środę, dnia 19 marca o godz. 10.30 zwłoki zostaną przeprowadzone z domu przedpogrzebowego, 5, Baker Street, do kaplicy na St. Mary's Cemetery, N.W.10, skąd po żałobnej mszy świętej, która zostanie odprawiona o godz. 11-ej, złożone będą do grobu.

W zmarłym Polska traci obywatela wielkiej prawości o nieskazitelnym charakterze, jednego z najbardziej zasłużonych pracowników w służbie państwowej i wybitnego prawnika.

PRZEŁOŻENI, PRZYJACIELE I KOLEDZY.

5336

Dz. P. nr. 66
18.03.1947

Paryż, w kwietniu

„DUTY"

(Pamięci Romana Hausnera)

napisał JÓZEF CZAPSKI

DOSZŁA tu do nas sucha notatka w londyńskim „Dzienniku Polskim i Dziennika Żołnierza": Roman Hausner, wybitny prawnik, przechodząc Sloane Street, został najechany przez samochód, uderzony w głowę. Wewnętrzny krwiotok, po 15 minutach utrata przytomności i śmierć, już bez odzyskania świadomości, w szpitalu St. George przy Hyde Parku. „Społeczeństwo uchodźcze polskie poniosło bolesną stratę przez tragiczny wypadek, który spowodował śmierć znanego prawnika..." — pisze „Dziennik Żołnierza".

Ile tych bolesnych strat! „Człowiek tylko siebie powinien się lękać, swego potencjału cierpienia" — pisze gdzieś Valéry. Coraz to wydaje się nam, że już niczego nie powinniśmy się „lękać", bo ten potencjał nasz został chyba wyczerpany hojnie i „z dokładką", do tego stopnia, że nawarstwienie katastrof i nieszczęść rodzi u niejednego z nas całe strefy martwe, strefy oschłości. Zdaje się nam już, że nie stać nas na przeżycia współmierne faktom. Ale nagła wiadomość o śmierci bliskiego człowieka znowu nas „budzi", znowu odkrywa, że ten potencjał jest bardzo rozciągliwy i wcale nie wyczerpany, i że każda nowa śmierć jest nową bolesną niespodzianką, której przyjąć spokojnie, „oschle" nie jesteśmy w stanie.

Miał 64 lat, ale jakże był młody! Parę dni przed notatką w „Dzienniku" dostaliśmy od niego list, w którym opowiadał o ukazaniu się jego książki pisanej po angielsku „Legal aspects of the present situation in Poland", pisał o planach dalszych prac, przesyłał trzy szkice - wspomnienia o Rosji, pisane zupełnie inaczej niż to, co my wszyscy o Rosji piszemy. Z większym dystansem, z większą równowagą, organicznym obiektywizmem i nawet z humorem, który zdaje się nigdy tego człowieka nie opuszczał. Roman stanął mi przed oczyma takim, jakim go poznałem w 1941 roku w Tocku, na stepie orenburskim.

* * *

Było to późną jesienią 1941 r. Przez naszą budkę (Opieka nad przybywającymi z północy żołnierzami) przewalał się od rana do wieczora tłum przybyszów. Przychodzili wszyscy. Poszukiwanie rodzin, przekazywanie nam spisu kolegów, których w obozach nie chciano wypuścić; różne żale i skargi. Właśnie przed chwilą spotkałem

mował. Nie miałem nigdy wrażenia, żeby oceniał pracę, zależnie od jej szczebla, każda praca na każdym szczeblu była dla niego ważna, chodziło mu zawsze tak samo o jej jakość. Każdą robił z tą samą sumiennością, a jednocześnie nie zapominał, że nie jest wszystkim. Miał i do niej dystans. Umiał się od niej oderwać. Zawsze miał czas przeczytać książkę, porozmawiać, na świat otaczający popatrzeć. W kołowrocie, gorączce, chaosie, a nieraz histerii naszej pracy w Rosji Roman Hausner czynił na mnie wrażenie jedynego punktu stałego. Jakże spokój tego człowieka, jego uwagi rozważne, krytyki bez śladu żółci, obiektywizm i rzadka inteligencja nam pomagały!

Oto pierwsze moje wspomnienie, gdy „minister" przestał być dla mnie ex-dygnitarzem a stał się przyjacielem: pewnego dnia po wielu godzinach żmudnej, prawie mechanicznej pracy przepisywania list, Roman Hausner, jak chłopak, któremu nudzi się w szkole, szepnął mi na ucho, że jest przecież sobotnie popołudnie, że my także mamy prawo odetchnąć. Za jego namową, cichaczem, obaj wywialiśmy zaraz po obiedzie.

Było późne, jesienne, bardzo słoneczne popołudnie. Spod lekkich płatów świeżego śniegu sterczały sztywne, wyschłe badyle stepowe. Szliśmy z dala od namiotów, koło zmurszałej rozwalonej scenki żołnierskiego teatrzyku, jeszcze z okresu, gdy stacjonowali tu latem kozacy orenburscy. Potem wysokim brzegiem rzeczki. Ten brzeg, w miejscach najbardziej „poetycznych", skąd ciągnął się widok, ponad rzadkie drzewa nad rzeczką, na daleki, daleki step, był upstrzony girlandą starych drewnianych wychodków, prawie że zdemolowanych przez naszych żołnierzy, którzy wyrywali deski na opał. Chodziliśmy po tym brzegu, po tym stepie buntów pugaczowskich, gdzie jeszcze w XVIII w. zsyłano konfederatów barskich, i gadaliśmy o Polsce. O Warszawie, o starym Krakowie z okresu Wyspiańskiego, z okresu „Znasz-li ten kraj" Boya, o dawnym Lwowie, gdzie Hausner zaraz po maturze,

Hausner wolał odejść, ale na tę robotę nie szedł.

Nie pamiętam Hausnera zdenerwowanego. Miał on ogromny zmysł humoru i wcale się nie obrażał, gdyśmy o nim stroili dowcipy. Załatwiał ogromną ilość spraw, a w wolnych chwilach, i to już dla własnej przyjemności, pisał artykuły i dostarczał nam do „Orła" materiały historyczne, aktualne.

Kursowała anegdotka w Sztabie, że pewien oficer trafił do niego, by się o coś spytać. Hausner zażądał personaliów. Przybyły wciąż chciał przerwać zapytania. Hausner nie dawał się zbić z tropu: „Religia? Imię matki, imię ojca? Skąd pan przybył?" Itd. Nieszczęsny gość ostatecznie się poddał i na wszystkie zapytania odpowiadał. Gdy zaś wszystko skończył, a Hausner wszystko swym okrągłym pismem spisał, spytał Hausnera: „Za którymi drzwiami urzęduje kpt. Bocianowski?". To był cały jego interes.

Urągaliśmy na Hausnera, że nic go nie umie wyrwać z rutyny urzędowania, a



ałego", gdy Armia Polska z Rosji przeiczała się w 2. Korpus, kiedy wojsko, któprzyszło z Sowietów, połączyło się z wojiem, które przyszło spod Tobruku, z Li, Egiptu i Palestyny. Dla „Orła Białego" połączenie przy wielkim zapotrzebowau dobrych piór, wysokiej klasy współpravników było ewenementem zasadniczym. łaśnie w Brygadzie Karpackiej było wielu daktorów, literatów, było to przecie prontowo najbardziej „inteligenckie" wojsko lskie. W Bagdadzie przybył do „Orła". ichał Ciołek, Mieroszewski, Piestrzyński. kże teraz połączyć redaktorów pism Bry- dy Karpackiej i redaktorów „Orła"? andydatem jednych był Roman Hausner, ugich — Ciołek Michał. Dziś to wszystko ygląda prosto, ale wtedy ileż było podejeń, klanów, i jak trudno było z począt- wyskoczyć poza ciasne kółka, przezwyżać wzajemne, nieraz głupie uprzedzenia. sz ówczesny Szef Propagandy, płk. Kel, zdecydował, że będą dwaj redaktorzy czelni: Hausner i Michał Ciołek. Gene- Anders wniosek ten przyjął.

Widzę jeszcze, jak Bau, rozwalony na arej kanapie, prawie sobie włosy wydzie, że „Orzeł" się skończy, że Roman się razi. Racięski miota się od pokoju do koju i hałasuje aż szyby drżą. Roman dzi spokojny w swoim pokoju, który był dnocześnie sypialnią, gabinetem i biurem dakcyjnym, i tylko grzecznie prosił, by estali wrzeszczeć i biegać:

UTY"

ięci Romana Hausnera)

żenia, żeby
czebla, każ-
yła dla nie-
tak samo o
mą sumien-
inał, że nie
iej dystans.
Zawsze miał
mawiać, na
kołowrocie,
terii naszej
r czynił na

tu stałego.
jego uwagi
ci, obiekty-
pomagały!
nienie, gdy
nie ex-dy-
em: pewne-
udnej, pra-
wania list,
któremu nu-
a ucho, że
nie, że my
Za jego na-
ny zaraz po

neczne po-
v świeżego
hłe badyle
iotów, koło
łnierskiego
y stacjono-
y. Potem
brzeg, w
ych", skąd
kie drzewa
step, był
rewnianych
nych przez
wali deski
gu, po tym
zie jeszcze
v barskich,
wie, o sta-
ńskiego, z
o dawnym
maturze,
ausner pa-
wnie i za-

Hausner wolał odejść, ale na tę robotę nie szedł.

Nie pamiętam Hausnera zdenerwowanego. Miał on ogromny zmysł humoru i wcale się nie obrażał, gdyśmy o nim stroili dowcipy. Załatwiał ogromną ilość spraw, a w wolnych chwilach, i to już dla własnej przyjemności, pisał artykuły i dostarczał nam do „Orła" materiały historyczne, aktualne.

Kursowała anegdotka w Sztabie, że pewien oficer trafił do niego, by się o coś spytać. Hausner zażądał personaliów. Przybyły wciąż chciał przerwać zapytania. Hausner nie dawał się zbić z tropu: „Religia? Imię matki, imię ojca? Skąd pan przybył?" Itd. Nieszczęsny gość ostatecznie się poddał i na wszystkie zapytania odpowiadał. Gdy zaś wszystko skończył, a Hausner wszystko swym okrągłym pismem spisał, spytał Hausnera: „Za którymi drzwiami urzęduje kpt. Bocianowski?". To był cały jego interes.

Urągaliśmy na Hausnera, że nic go nie umie wyrwać z rutyny urzędowania, a



ałego", gdy Armia Polska z Rosji przeiaczała się w 2. Korpus, kiedy wojsko, któ przyszło z Sowietów, połączyło się z wojiem, które przyszło spod Tobruku, z Li i, Egiptu i Palestyny. Dla „Orła Białego" połączenie przy wielkim zapotrzebowau dobrych piór, wysokiej klasy współpraowników było ewenementem zasadniczym. Właśnie w Brygadzie Karpackiej było wielu daktorów, literatów, było to przecie prontowo najbardziej „inteligenckie" wojsko olskie. W Bagdadzie przybył do „Orła", ichał Ciołek, Mieroszewski, Piestrzyński. kże teraz połączyć redaktorów pism Bryady Karpackiej i redaktorów „Orła"? andydatem jednych był Roman Hausner, ugich — Ciołek Michał. Dziś to wszystko ygląda prosto, ale wtedy ileż było podejeń, klanów, i jak trudno było z początk wyskoczyć poza ciasne kółka, przezwyężać wzajemne, nieraz głupie uprzedzenia. asz ówczesny Szef Propagandy, płk. Kelr, zdecydował, że będą dwaj redaktorzy nczelni: Hausner i Michał Ciołek. Geneł Anders wniosek ten przyjął.

Widzę jeszcze, jak Bau, rozwalony na sarej kanapie, prawie sobie włosy wydzieu, że „Orzeł" się skończy, że Roman się orazi. Racięski miota się od pokoju do pkoju i hałasuje aż szyby drżą. Roman sedzi spokojny w swoim pokoju, który był jednocześnie sypialnią, gabinetem i biurem dakcyjnym, i tylko grzecznie prosił, by przestali wrzeszczeć i biegać:

SPOTKANIE z „ARCHANIOŁEM ŚMIERCI"

Przeciskam się przez tłum, otaczający stolik, na którym Malraux pisze dedykacje dla snobów.

Przed chwilą zaledwie przemawiał. Dwanaście głośników rozbijało zdania wulkaniczne na poszczególne słowa. Przed chwilą ręce Malraux o wąskich, ruchliwych dłoniach wznosiły się w górę, wzniecając optymizm, lub opuszczały w dół zanurzając salę w nicość i obłęd apokaliptyczny, w wizję śmierci Europy.

„Jeśli mamy żyć — musimy tego chcieć. Jeśli natomiast Europa ma umrzeć, niech to uczyni świadomie, z naszą wolą. Jeśli zdobędziemy się na samobójstwo — to niech ci, co przyjdą, ujrzą nie pośmiertną maskę Europy, lecz jej wspaniałe, namiętne oblicze..."

Siedzi Malraux przy stoliku i cierpliwie podpisuje książki.

Wreszcie gestem zniecierpliwienia zatrzymuje cisnących się zewsząd zbieraczy autografów i wstaje. Ciągnie mnie za rękaw do małej salki.

Przyglądam się Malraux. Nie chce mi się wierzyć, że to on właśnie brał udział w rozmaitych ludzkich awanturach, rewoltach i wojnach domowych. To nie jakiś kondotier o szerokiej piersi. Twarz ściągła, bardzo szczupły, cherlak prawie...

A jednak to on, mając dwadzieścia dwa lata, wyjechał do Indochin, by walczyć o lepszą dolę tubylców. Był jednym z założycieli ruchu „Młody Annam" i pisma „Indochine".

Odtąd bierze udział w sporze Zachód — Wschód i pisze książkę, wnikliwą i błyskotliwą, „Pokusa Zachodu" („Tentation de l'Occident") w formie listów — rozmów dwóch intelektualistów, europejczyka i Chińczyka, na temat przeciwstawnych kultur.

W „Królestwie Farfelu" daje się poznać Malraux jako zbieracz dziwacznych anegdot, zadziwiających legend, niezwykłych ludzi z pogranicza snu i rzeczywistości, ludzi, którzy przeciwstawiają się codzienności i zwykłości.

Po tych książkach następuje przerwa. Malraux podróżuje po Persji, Afganistanie i Syjamie. Wszędzie odnajduje typy ludzi wyjątkowych: narkomanów, mistyków, proroków. „Droga Królewska" powstaje w związku z drugim pobytem w Indochinach. Perken, bohater tej książki, walczy z dżunglą idąc na przeciw nicości, która go pochłonie. Pojawia się obsesja śmierci, która już od tej

staje powołany do wojska. Dostaje się do niewoli, z której ucieka. W Szwajcarii powstaje „Walka z Aniołem", tak różna i o wiele dojrzalsza od dzieł poprzednich.

Niepokój nie pozwala na bezczynność, tak jak poznanie i zrozumienie wroga nie przeszkadza, by go zwalczać. Pod pseudonimem „Pułkownika Berger", Malraux dowodzi oddziałem Macquis. Na skutek nieszczęśliwego zbiegu okoliczności aresztuje go Gestapo. Cudem unika śmierci. Jest teraz pułkownikiem w brygadzie „Alsace-Lorraine" a potem ministrem informacji w rządzie de Gaulle'a.

Obecnie głosi konieczność obrony „cywilizacji atlantyckiej", konieczność obudzenia się europejczyka z niebezpiecznego półsnu. Znowu staje u boku generała.

I to właśnie ten drobny człowieczek, na którego w tej chwili patrzę...

W Almanachu literackim znalazłem takie orzeczenie grafologiczne dla autora „Doli człowieczej": „pismo Malraux, małe, niedokładne, ujawnia kompleks niższości, który jest kluczem jego charakteru".

Słabość fizyczna wyrównana jest jakimś urodzajem wywodzącym się z niedostateczności. Jest to urodzaj anarchizmu.

Bo Malraux jest anarchistą w najszlachetniejszym wydaniu i w najczystszym kształcie. Anarchizm jego ma swój początek w jakimś prawie mistycznym humanizmie.

Jeśli przebiegły grafolog odkrył w pismie Malraux oznaki kompleksu niższości, to ja odkrywam w jego książkach kompleks, który nazywam „kompleksem Spartakusa".

Malraux uśmecha się tajemniczo.

— Może to i prawda... — mówi. — Pa ma na myśli Spartakusa Koestlera? tak?

Teraz ja się uśmiecham, bo Malraux ma słuszność. Odkrył to od razu.

— Tak, Spartakusa... w tym sensie, że człowiek powinien buntować się przed każdym zastygnięciem w obiegowych formach niewoli — społecznej, politycznej czy ekonomicznej, tak jak przed zastygnięciem we własnej lawie...

— Oznacza to — pytam — że trzeba siebie odkrywać i odszukiwać?

— Nie tylko. Trzeba działać i przeciwdziałać... człowiekowi, By nie przestał być sobą, potrzebny jest klimat heroiczny... — mówi żarliwie a jego ręce trzepocą się na tle ciemnego ubrania.

— Wydaje mi się, że najważniejszą sprawą

pisał trzy szkice - wspomnienia o Rosji, pisane zupełnie inaczej niż to, co my wszyscy o Rosji piszemy. Z większym dystansem, z większą równowagą, organicznym obiektywizmem i nawet z humorem, który zdaje się nigdy tego człowieka nie opuszczał. Roman stanął mi przed oczyma takim, jakim go poznałem w 1941 roku w Tocku, na stepie orenburskim.

* * *

Było to późną jesienią 1941 r. Przez naszą budkę (Opieka nad przybywającymi z północy żołnierzami) przewalał się od rana do wieczora tłum przybyszów. Przychodzili wszyscy. Poszukiwanie rodzin, przekazywanie nam spisu kolegów, których w obozach nie chciano wypuścić; różne żale i skargi. Właśnie przed chwilą spotkałem pułkownika P. w rozpaczy. To on przyjmował te masy ludzkie, nie wiedząc nigdy, czy tego dnia będzie miał nowych dwustu, czy półtora tysiąca Był odpowiedzialny za pomieszczenie i wyżywienie podczas pierwszych dni po przybyciu. Ludzi już nie miał gdzie mieścić, nie miał namiotów, a tu przybywali między innymi niedołężni starcy, do żadnego wojska niezdatni. Wiedziałem, że pułkownik nie miał już innej koszuli poza tą, którą nosił na sobie, bo wszystkie własne rozdał przybyszom. Pod pozorami surowości ukrywał wstydliwie najlepsze serce.

Nagle moi przełożeni oraz niektórzy z kolegów zaczęli się miotać jeszcze gorączkowiej ,porozumiewiejąc się między sobą szeptem. Ktoś bardzo ważny przyjechał, ktoś kto był ich przełożonym w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, jakiś „minister". W mojej zimnej i wilgotnej budce stała długa kolejka, czekając nieraz godzinę i więcej na przyjęcie, czekając w izbie czy jeszcze poza izbą, w śniegu i deszczu. To nagłe zainteresowanie jakimś „ministrem" raczej mnie rozdrażniło. Znowu protekcja! Mój przełożony bezpośredni, płk. J., człowiek twardy dla siebie, wymagający dla nas, niezmiernie pracowity i dosyć „urzędowy", dowiedziawszy się o przyjeździe tajemniczego gościa, natychmiast go przyjął, jeszcze zawszonego, do swojej ciasnej, sąsiadującej z nami klitki, na współtowarzysza. Po paru godzinach poznałem tajemniczego ministra. Krępy, o bardzo gęstej, zaledwie siwiejącej, ciemnej czuprynie, tak gęstej, że sprawiała prawie wrażenie peruki, w wypłowiałej fufajce, w takich samych jak inni przybysze butach ze szmat, — siedział wygodnie i popijał ze smakiem bardzo gorącą herbatę. Rozmawiał swobodnie, bez pośpiechu. Miał na nosie okulary, w których zamiast jednego szkiełka był wklejony kawałek śniegu sterczały sztywne, wyschłe badyle stepowe. Szliśmy z dala od namiotów, koło zmurszałej rozwalonej scenki żołnierskiego teatrzyku, jeszcze z okresu, gdy stacjonowali tu latem kozacy orenburscy. Potem wysokim brzegiem rzeczki. Ten brzeg, w miejscach najbardziej „poetycznych", skąd ciągnął się widok, ponad rzadkie drzewa nad rzeczką, na daleki, daleki step, był upstrzony girlandą starych drewnianych wychodków, prawie że zdemolowanych przez naszych żołnierzy, którzy wyrywali deski na opał. Chodziliśmy po tym brzegu, po tym stepie buntów pugaczowskich, gdzie jeszcze w XVIII w. zsyłano konfederatów barskich, i gadaliśmy o Polsce. O Warszawie, o starym Krakowie z okresu Wyspiańskiego, z okresu „Znasz-li ten kraj" Boya, o dawnym Lwowie, gdzie Hausner zaraz po maturze, wstąpił do Urzędu Krajowego. Hausner pamiętał wszystko, opowiadał barwnie i zawsze z mądrym humorem. I dawny Lwów i „austriacki" jeszcze Kraków, i Warszawa już od lat ostatnich dwudziestu — wszystko to wydawało nam się jakimś światem niewiarygodnym i błogim.

W Polsce słowo „urzędnik" traktowane jest raczej jako określenie niepochlebne. „Urzędnik", „urzędas", to człowiek nie tylko bez pióropusza i nie nadający się do Somo-Sierry, ale człowiek, którego nie interesują wielkie problemy, który nie będzie robił ani rewolucji, ani powstania, będzie pracował tylko od godziny do godziny i dbał o swoją karierę od szczebelka do szczebelka. Hausner był dla mnie odkryciem, nie tylko że akcentował, że jest „urzędnikiem", „urzędasem" ale, że niczym innym być nie pragnął. Sam od szczebelka do szczebelka zrobił swoją karierę — od najniższego stopnia hierarchii urzędniczej od 1901 r. we Lwowie poprzez 1919, gdy powołany do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w trzy lata potem został naczelnikiem wydziału organizacyjno-prawnego, a parę lat później dyrektorem departamentu. Doszedł z czasem do rangi wiceministra. Hausner wydał mi się właśnie wzorem typu, który znałem częściej z karykatury, wzorem urzędnika. W okresie Polski Niepodległej był nieodwołalnie potrzebny każdemu ministrowi, służył im po kolei lojalnie, konsekwentnie, nie angażując się do walki politycznej. Było to dla mnie nie bardzo zrozumiałe, jak można było przetrwać wszystkie gabinety — Sikorskiego, Piłsudskiego, Witosa i Sławoja-Składkowskiego.

„Proszę cię, mówił nieraz, przecie muszą być ludzie, którzy wykonują rozkazy, którzy wykonują całą wielką robotę, która porusza machinę państwową, niezależnie od



Roman Hausner (w ubraniu cywilnym)

Hausner sam chętnie dodawał od siebie historyjki, naświetlające na wesoło jego metodę i styl pracy.

Zastał mnie kiedyś, gdy się męczyłem nad jakimś podaniem, czy artykułem, nie wiedząc, jak zacząć.

„Cóż się zastanawiasz, pisz zaraz. Bo to, widzisz, ja mam taką zasadę, i mnie tej zasady nauczył mój pierwszy szef, kiedy zaczynałem urzędować jeszcze za Potockiego we Lwowie. Kazano mi pierwszego dnia napisać pismo. Po jakimś czasie przychodzi mój szef i pyta, co robię. Widzi, że mam tylko kilka pokreślonych zdań na papierze. „Myślę" — odpowiadam. A na to szef z góry: „Pan nie na to jest, żeby myśleć, ale żeby pisać". I wiesz, dodał Hausner całkiem poważnie, to nie była wcale głupia wskazówka. Nie można rozcinać ciągle włosa na cztery. Trzeba pisać i wtedy myśli same przychodzą".

Te drobne anegdotki mają swój sens tylko, jeżeli pamiętamy, że chodzi tu o człowieka, który nieustannie myślał, który mocno tkwiąc w ramach swej pracy umiał zawsze podejść do zagadnienia nieoczekiwanie i twórczo, którego się nie widziało inaczej jak w robocie, albo biurowej, albo może najważniejszej : własnej, która się nazywała odpoczynkiem. Mówią że właśnie wywczasy najlepiej charakteryzują poziom kulturalny człowieka. W Jangi-Julu Roman wynajął pokój w małej chatce we wsi. Naokoło miał drzewa, kukurydzę, winnice, pełno zieloności. Przychodził do roboty jak chronometr, ale też prawie nigdy urzędowania nie przedłużał poza godziny służbowe. Szedł do swojej chatki, czytał książki, rozmawiał z ludźmi, uczył się angielskiego. Ze wszystkiego, co go otaczało, miał pożywkę dla myśli i obserwacji. W obcowaniu z nim miało się wrażenie, że godziny jego są zawsze pełne, że życie jego płynie szerokim równym strumieniem, że właściwie jest z życia bardzo zadowolony. Było to naturalnie wszystko bardziej złożone w rzeczywistości, niż mi się wówczas wydawało. Dzięki wielkiej równowadze psychicznej, opanowaniu, z trudem ujawniał na zewnątrz sprawy najbardziej osobiste, nie zawsze łatwe, od których, jak żaden człowiek, nie był wolny. Ale było faktem, że dla niejednego z nas chatka Romana w uzbeckiej wsi była prawie jedyną w Jangi-Julu przystanią pogodną, bez nerwów.

Jeszcze przed wyjazdem z Rosji, gdy Hausner przestał być delegatem Ambasady przy Armii, udało się nam przeciągnąć go do propagandy, na redaktora „Orła Białego". Na tym stanowisku pozostał aż do wyjazdu z Bagdadu do Londynu.

„Orzeł" w Rosji walczył z wielkimi trudnościami, z których najgorszą był brak biblioteki, brak materiałów, poza nasłuchem radiowym, nawet uczciwej encyklopedii. Encyklopedią, biblioteką, był dla nas Roman. Wiedział wszystko. Miał w głowie i Mały Rocznik Statystyczny i daty historyczne. Wiedział przy tym bardzo wiele i gruntownie z literatury, z historii i z polityki. Na każdy temat nas oświecał. Nie to było jednak główną wartością redaktora. Ale znów jego wspaniały spokój i przyjaźń, która

Z TEKI RYSOWNIKÓW





nowie z Józefem Czapskim w Jangi Jul

lichał Ciołek? — pyta Hausner. Ależ
n go z jak najlepszej strony, jestem
ny, że będziemy z sobą doskonale współ-
ować".
tak się w rzeczywistości stało.
łaśnie w Bagdadzie, gdzie mieszkałem
manem przez drzwi, uderzała mnie pra-
tość tego człowieka. Poza robotą od
iny do godziny było zawsze jeszcze
sce dla fantazji, dla prac, które budzi-
agle jego zainteresowanie. Przychodzi-
o niego dzieciaki, które uczył czytać i
. Mówił, że go to bawi. Uczył się nie-
nnie angielskiego, kiedyś znów zapa-
ię do Piastów i zaczął kleić ogromne
sze genealogii z imionami nikomu nie-
ych Piastów i ich powinowatych. Po
miesiącach ukazał się w „Orle" wielki
kuł Romana ,w którym pisał o kultu-
ych związkach Polski, wspominał po
ze alianse piastowskie ze Szwecją i
ą. Ta „niepotrzebna" praca nad genea-
była punktem wyjścia ciekawego ar-
u, który napisał od ręki, i tak właśnie
bawy powstawały jego artykuły, po-
y, z nieustającej, rzutkiej, **bezintere-**
ej myśli.
oman nie lubił superlatywów i nigdy
ie używał. Umiał dowcipnym spojrze-
zza okularów dać do zrozumienia, jak
ia frazesy, megalomanię.
Wańkowicz pisze w swym „Monte
ino", że Polak ocenia ludzi umieszcza-
ich zbyt łatwo w dwóch kategoriach:
terów lub łajdaków czy tchórzów. U
ików, pisze Wańkowicz, „między karą
grodą jest szeroki i obszerny pas, któ-
azywa się po prostu „duty" — obo-
ek. Anglik od wieków jest szkolony
by się bohatersko wyróżnić, ale żeby
silny charakter we wszystkim, a więc
spełnieniu obowiązku". Roman Haus-
ie był Anglikiem, ale Polakiem, który
życie dla Polski przepracował. Ale
nie on mógłby służyć pod każdą sze-
ścią geograficzną i w każdym kraju
zór właśnie takiego spojrzenia na ży-
rdzie na szczycie hierarchii jest speł-
e obowiązku. Tylko że jeżeli dla An-
taki stosunek do życia jest od wie-
uświęconą normą, to u nas był on je-
dosyć rzadki. W nieustannym akcen-
niu każdym swym postępkiem wagi
iązku, na każdym szczeblu pracy,
stko jedno czy wysokim, czy najskro-
iszym, była w Romanie Hausnerze
loma reakcja przeciwko ciemnej stro-
aszego kultu bohaterstwa, tej „fanfa-
dzie, bladze i niepotrzebnemu wypina-
piersi" ludzi, podobnych do cieni, do
ek" z „Wyzwolenia".
n spokojny i mocny człowiek, do śmier-
ien młodzieńczych sił, umiał łączyć
viedliwy, obiektywny sąd o ludziach i
rawach z przyjaznym zawsze, wyro-
ałym stosunkiem do człowieka. Wśród
tycznych bohaterów i bohaterów w
słowie, wśród rozwichrzonych głów, i
netnych fiksatów, Roman był może
iej niż inni — człowiekiem.

chine".

Odtąd bierze udział w sporze Zachód — Wschód i pisze książkę, wnikliwą i błyskotliwą, „Pokusa Zachodu" („Tentation de l'Occident") w formie listów — rozmów dwóch intelektualistów, europejczyka i Chińczyka, na temat przeciwstawnych kultur.

W „Królestwie Farfelu" daje się poznać Malraux jako zbieracz dziwacznych anegdot, zadziwiających legend, niezwykłych ludzi z pogranicza snu i rzeczywistości, ludzi, którzy przeciwstawiają się codzienności i zwykłości.

Po tych książkach następuje przerwa. Malraux podróżuje po Persji, Afganistanie i Syjamie. Wszędzie odnajduje typy ludzi wyjątkowych: narkomanów, mistyków, proroków. „Droga Królewska" powstaje w związku z drugim pobytem w Indochinach. Perken, bohater tej książki, walczy z dżunglą idąc na przeciw nicości, która go pochłonie. Pojawia się obsesja śmierci, która już od tej chwili nie odstąpi pisarza.

Potem Malraux rzuca się w wielką przygodę chińską i pisze wspaniałych „Zdobywców". Misjonarze polityczni, w których rozpoznajemy pod różnymi maskami samego autora, wstrząsają opasłych Chińczyków, uczą kulisów, że tylko jedno jest życie i dla niego trzeba zdobyć godność. Malraux unika półtonów.

Wygrywa akordami pełnię człowieka takiego jak Garine, który działa bezinteresownie (działanie dla działania), a dopiero później odnajduje w sobie pożądanie jakiegoś mistycznego braterstwa zastępującego wiarę.

W tym nie zaspokojonym nigdy żądaniu kryje się tragizm polegający na tym, że najlepsi z najlepszych, w razie powodzenia, skazani są z góry przez przyjaciół, w razie niepowodzenia — przez wrogów.

W „Doli człowieczej" rewolucja odbywa się na serio. Wszyscy, którzy jej służą, starają się przede wszystkim „zrealizować" samych siebie. Mimo, że walczą wspólnie, każdy z nich jest niezmiernie samotny i jakby naznaczony piętnem śmierci.

Czen umrze w czasie nadaremnego zamachu, rozdeptany butami eskorty pustego samochodu.

Kyo, Katow czy Hemmerlich dążą do tego, by nadać sens własnemu życiu. To, co się dzieje na stronicach „Doli człowieczej", jest okrutne a zarazem prorocze dla późniejszych czasów pogardy.

Malraux ukazuje swych bohaterów w chwili, kiedy są u szczytu świadomości, u szczytów miłości czy okrucieństwa.

Ten okres twórczości można by nazwać komunizującym, gdyby nie to, że w tym samym czasie piętnuje pisarz czerwonych władców, którzy „spontaniczną" wolą skazańców zbudowali kanał do Morza Białego. Kiedy w Indochinach dzieje się niesprawiedliwość, Malraux nie waha się rzucić Francuzom prawdy w oczy, by im powiedzieć co się robi w ich imieniu: „Każdy naród wyczerpuje swoją cierpliwość, nuży się tym, co trwa za długo. Nawet jeśli jest mordowany bezmyślnie..."

Patos czynu pociąga pisarza bardziej niż jakakolwiek doktryna. Bohaterowie Malraux nie mają nic wspólnego z mdłymi bojownikami, z komformistami pozbawionymi obaw. Dla nich nie ma spraw pewnych, prócz przejściowej równowagi na granicy śmierci.

Malraux zawsze zaczyna działać jako pisarz i jako człowiek w chwili, kiedy inni ustępują, kiedy wszystkie złudzenia opadły. Dlatego teraz znowu pojawia się na arenie.

W 1935 roku ogłasza „Czasy pogardy", gdzie poczucie niewoli zewnętrznej wikła się z wewnętrzną wolnością.

Wybucha w Hiszpanii wojna domowa. Krwawe przedwojenne manewry, próba sił. Malraux, człowiek bez złudzeń, człowiek-dyletant, bierze w tej rozprawie udział. Tworzy eskadrę „Desperados" i rzuca ją do walki z legionem „Condor". Walczy z nim razem aż do upadku Malagi nie szczędząc siebie ani razu. Z próbnego pobojowiska Europy powstaje — „Nadzieja".

„Nadzieja" jest dramatyczną analizą rewolucji, kładącą znak równania pomiędzy ludźmi po obu stronach barykady. Barykada musi jednak pozostać i na tym polega dramat.

Wreszcie przychodzi rok 1940. Malraux zo-

odkrywam w jego książkach kompleks, który nazywam „kompleksem Spartakusa".

Malraux uśmiecha się tajemniczo.

— Może to i prawda... — mówi. — Pa ma na myśli Spartakusa Koestlera? tak?

Teraz ja się uśmiecham, bo Malraux ma słuszność. Odkrył to od razu.

— Tak, Spartakusa... w tym sensie, że człowiek powinien buntować się przed każdym zastygnięciem w obiegowych formach niewoli — społecznej, politycznej czy ekonomicznej, tak jak przed zastygnięciem we własnej lawie...

— Oznacza to — pytam — że trzeba siebie odkrywać i odszukiwać?

— Nie tylko. Trzeba działać i przeciwdziałać... człowiekowi. By nie przestał być sobą, potrzebny jest klimat heroiczny... — mówi żarliwie a jego ręce trzepocą się na tle ciemnego ubrania.

— Wydaje mi się, że najważniejszą sprawą jest dla człowieka to, by zasmakował w wolności i uchwycił jej sens dynamiczny... — podejmuję szybko, widząc napierające rentierki z ratlerkami na rękach. Odkryły naszą kryjówkę.

— Istotnie to sprawa najważniejsza... — powiada pisarz.

— Mówiło się dawniej, że pan jeśli nie jest nawet komunistą, to w każdym razie ma pan tego rodzaju sympatie?...

Malraux przerywa mi szybkim ruchem ręki.

— Jeśliby komunizm był drogą do powszechnego braterstwa... Ale nigdy, jeśli chodzi o doktrynę nieustannej i przymusowej zależności, gdzie...

— ...gdzie człowiek jest ZEREM a państwo NIESKOŃCZONOŚCIĄ... — kończę.

— Tak. Ale pan ma, widzę, istny kompleks Koestlera... — mówi ironicznie autor „Nadziei".



André Malraux

Żona pisarza, którą dopiero teraz spostrzegłem, wkłada mu między rozstawione palce dłoni zapalonego papierosa.

— Bohaterowie pańskich książek to nie urzędnicy rewolucji, lecz członkowie brygad szturmowych, awanturnicy, misjonarze, condottieri, spadkobiercy landsknechtów... i święci... — dodaję, myśląc o Czenie.

Twarz ściąga mu się nagłym skurczem.

— Tak, moi ludzie... (mówi to, jak gdyby chodziło o ludzi żywych z hiszpańskich szturmówek czy z oddziałów Macquis, którymi dowodził)—moi ludzie — powtarza Malraux — to ci, którzy eksploatują do ostatecznych granic miłość czy nienawiść... nic nie może dla nich pozostać wpół drogi... to ludzie szukający siebie w pełni życia, bogacący się przeżyciami aż do śmierci...

Malraux zamyślił się.

— Teraz mówią — podjął po chwili — że dojrzałem do faszyzmu... Dojrzałem tak, jak do komunizmu, jeśli wziąć pod uwagę umiłowanie działania... Chcę by człowiek przezwyciężył narzucony los, by wyzwolił się z doli człowieczej (qu'il s libère de sa con-

przybysze butach ze szmat, — siedział wygodnie i popijał ze smakiem bardzo gorącą herbatę. Rozmawiał swobodnie, bez pośpiechu. Miał na nosie okulary, w których zamiast jednego szkiełka był wklejony kar-

Z TEKI RYSOWNIKÓW



M. BOHUSZ-SZYSZKO — Głowa

ton, w środku zaś tego kartonu był misternie wprawiony drobniutki kawałeczek szkiełka. Widocznie okulary mu się rozbiły i tak musiał z tym kartonowym okularem przeżyć długie miesiące zesłania. Bo Roman Hausner, był to on właśnie, miał za sobą rok więzienia i rok zesłania, skazany na 8 lat obozu jako „element socjalno-opasnyj" (element społecznie niebezpieczny).

W Tocku wszedł on od pierwszego dnia w naszą pracę, godzinami zestawiając spisy, przyjmując interesantów. W Jangi Julu, w Bagdadzie znów pracowaliśmy obok albo razem. Rozstaliśmy się dopiero gdy Hausner został wezwany do Londynu na radcę prawnego Prezydenta, który dawniej jeszcze — jako Minister Spraw Wewnętrznych, a potem wojewoda, wiele lat z Hausnerem współpracował. Widziałem go później, już w Londynie, zajętego od rana do wieczora i jak zawsze pogodnego.

Jedna może rzecz charakteryzowała go najbardziej — rzadka **niezależność** od warunków. Ten człowiek w łachmanach z kartonowym „szkiełkiem" w okularze, z wszami, które systematycznie i z idealnym spokojem i powagą łowił, gdy się do naszej klitki w Tocku przeniósł, i radca prawny Prezydenta w Londynie, mieszkający z żoną w miłym mieszkaniu londyńskim, to był zupełnie ten sam człowiek, ta sama naturalność, swoboda, pracowitość, ta sama zdolność przeżywania życia wielostronnie i rozumnie.

W naszej budce Hausner sporządzał przez parę tygodni wieloimienne spisy nazwisk według alfabetu kolegów, których z powodu zupełnej niezdolności do wojska, braku namiotów, staraliśmy się rozmieścić czasowo w okolicznych kołchozach. Pisał systematycznie, okrągłym czytelnym pismem, jakby całe życie tylko tym się zaj-

woja-Składkowskiego.

„Proszę cię, mówił nieraz, przecie muszą być ludzie, którzy wykonują rozkazy, którzy wykonują całą wielką robotę, która porusza machinę państwową, niezależnie od tego, jakiego koloru jest rząd i czy ja kocham Piłsudskiego czy Sikorskiego. Koleje muszą iść, podatki muszą być pobierane, życie nie może się zatrzymać. Minister był dla mnie zawsze przedstawicielem Najjaśniejszej Rzeczypospolitej i Jej służyłem". — Nigdy przy tym nie zauważyłem, by Hausner miał kiedykolwiek miękki kark. Każdy człowiek musiał w nim uszanować prawość i konsekwencję jego stanowiska — czystość linii.

Z naszej klitki stepowej wezwano nagle Hausnera do Kujbyszewa, do Ambasady. Spotkałem go później w Jangi-Julu. Był już znowu „dygnitarzem", przedstawicielem ambasadora Kota przy Armii Polskiej. Już nie chodził w porwanej fufajce, ani w butach i owijaczach, miał już nowe okulary.

Wielkie biuro Hausnera na parterze było zawsze pełne ludzi. Wszystkie zagadnienia drażliwe, palące, tyczące się przede wszystkim ludności cywilnej, jej przeżywienia, pomocy, składy żywności, które dla tej ludności otrzymywaliśmy zza granicy — wszystko to było zależne od Hausnera, który musiał przy tym ciągle uzgadniać politykę, taktykę wojska z taktyką ambasady. Nie było to łatwe. Musiał wciąż wyrównywać narastające drobne i większe tarcia, nieuknione między władzą cywilną i wojskową. W wojsku zyskał sobie bardzo wielu przyjaciół, właśnie dlatego, że był obiektywny, nigdy nie podniecał, a zawsze starał się wygładzać trudności czy konflikty. Na najdrobniejszym odcinku lub na szczeblu najwyższym nie znosił organicznie intryg, plotek i siucht. Można było zawsze liczyć na jego pracę, gdy chodziło o sprawy realne, potrzebne. Jeżeli tylko jednak ktokolwiek chciał żądać od Hausnera usług partyjnych, politycznych, jeżeli żądał od niego informacji „dyskretnych", tak czy inaczej podsłuchanych czy podpatrzonych,

zywała odpoczynkiem. Mówią że właśnie wywczasy najlepiej charakteryzują poziom kulturalny człowieka. W Jangi-Julu Roman wynajął pokój w małej chatce we wsi. Naokoło miał drzewa, kukurydzę, winnice, pełno zieloności. Przychodził do roboty jak chronometr, ale też prawie nigdy urzędowania nie przedłużał poza godziny służbowe. Szedł do swojej chatki, czytał książki, rozmawiał z ludźmi, uczył się angielskiego. Ze wszystkiego, co go otaczało, miał pożywkę dla myśli i obserwacji. W obcowaniu z nim miało się wrażenie, że godziny jego są zawsze pełne, że życie jego płynie szerokim równym strumieniem, że właściwie jest z życia bardzo zadowolony. Było to naturalnie wszystko bardziej złożone w rzeczywistości, niż mi się wówczas wydawało. Dzięki wielkiej równowadze psychicznej, opanowaniu, z trudem ujawniał na zewnątrz sprawy najbardziej osobiste, nie zawsze łatwe, od których, jak żaden człowiek, nie był wolny. Ale było faktem, że dla niejednego z nas chatka Romana w uzbeckiej wsi była prawie jedyną w Jangi-Julu przystanią pogodną, bez nerwów.

Jeszcze przed wyjazdem z Rosji, gdy Hausner przestał być delegatem Ambasady przy Armii, udało się nam przeciągnąć go do propagandy, na redaktora „Orła Białego". Na tym stanowisku pozostał aż do wyjazdu z Bagdadu do Londynu.

„Orzeł" w Rosji walczył z wielkimi trudnościami, z których najgorszą był brak biblioteki, brak materiałów, poza nasłuchem radiowym, nawet uczciwej encyklopedii. Encyklopedią, biblioteką, był dla nas Roman. Wiedział wszystko. Miał w głowie i Mały Rocznik Statystyczny i daty historyczne. Wiedział przy tym bardzo wiele i gruntownie z literatury, z historii i z polityki. Na każdy temat nas oświecał. Nie to było jednak główną wartością redaktora. Ale znów jego wspaniały spokój i przyjaźń, którą miał dla ludzi. Nie przypominam sobie ani jednego człowieka z naszego zespołu, który by miał kiedykolwiek ochotę do najmniejszego z nim zatargu. A przecież „wariatów" mieliśmy wśród nas wielu. „Orzeł" stał wówczas na dwóch potężnych filarach: artykuły zasadnicze, wstępne, długie tasiemce polityczno-patriotyczne pisał Racięski. O wiele jednak chętniej gadał niż pisał, i to głosem tak stentorowym, że nam wszystkim bębenki pękały. Nazywaliśmy go u nas Róbcóś. Drugim filarem potężnym był Bau, współpracownik jednego z warszawskich czerwoniaków. On łamał każdy numer, przynosił nadzwyczajne ostatnie sensacyjne wiadomości, użerał się dramatycznie to z przełożonymi, to z drukarzami, mając chyba najmniejsze z nas wszystkich pojęcie o formach wojskowych. Przy tym najlepszy kolega, zastrzykiwał nam najwięcej beztroskiego humoru i wesołości. Szczupły zestaw redakcji był bardziej niż różnolity i wcale nie „urzędniczy", a przecie jakże szybko każdy z nas się do Romana przywiązał. Od chwili, gdy zaczął „Orła" redagować, on rozplanowywał robotę, zapędzał każdego z nas do pisania artykułów, przygotowywał numery specjalne na dalszą metę. Jakże umiał się zachowywać na burzliwych zebraniach redakcyjnych. Zawsze najspokojniej przeprowadzał swoją rozważną decyzję, artykuły rzadko odwalał, ale najsłabsze „zatrzymywał pod suknem", w szufladach.

„Ty nie wiesz, jakie to ważne, szuflada. Niektóre papiery trzeba przetrzymywać, niech leżą. Od ilu głupstw uratowałem tą metodą moich przełożonych. Gdy byłem naczelnikiem wydziału w MSW, w okresie najostrzejszego napięcia polsko-ukraińskiego, przyszło zarządzenie przesunięcia różnych granic wojewódzkich. Wiedziałem, że tego rodzaju zarządzenie może wywołać najgorsze tarcia, nawet przelew krwi. Projekt schowałem pod sukno i leżał tam bardzo, bardzo długo, aż się zrobił nieaktualny".

Po Turkiestanie spotkaliśmy się w Bagdadzie. Roman był wciąż redaktorem „Orła

ich nie używał. Umiał dowcipnym spojrzeniem zza okularów dać do zrozumienia, jak ocenia frazesy, megalomanię.

To Wańkowicz pisze w swym „Monte Cassino", że Polak ocenia ludzi umieszczając ich zbyt łatwo w dwóch kategoriach: bohaterów lub łajdaków czy tchórzów. U Anglików, pisze Wańkowicz, „między karą i nagrodą jest szeroki i obszerny pas, który nazywa się po prostu „duty" — obowiązek. Anglik od wieków jest szkolony „nie by się bohatersko wyróżnić, ale żeby miał silny charakter we wszystkim, a więc i w spełnieniu obowiązku". Roman Hausner nie był Anglikiem, ale Polakiem, który całe życie dla Polski przepracował. Ale właśnie on mógłby służyć pod każdą szerokością geograficzną i w każdym kraju za wzór właśnie takiego spojrzenia na życie, gdzie na szczycie hierarchii jest spełnienie obowiązku. Tylko że jeżeli dla Anglika taki stosunek do życia jest od wieków uświęconą normą, to u nas był on jeszcze dosyć rzadki. W nieustannym akcentowaniu każdym swym postępkiem wagi obowiązku, na każdym szczeblu pracy, wszystko jedno czy wysokim, czy najskromniejszym, była w Romanie Hausnerze świadoma reakcja przeciwko ciemnej stronie naszego kultu bohaterstwa, tej „fanfaronadzie, bladze i niepotrzebnemu wypinaniu piersi" ludzi, podobnych do cieni, do „masek" z „Wyzwolenia".

Ten spokojny i mocny człowiek, do śmierci pełen młodzieńczych sił, umiał łączyć sprawiedliwy, obiektywny sąd o ludziach i o sprawach z przyjaznym zawsze, wyrozumiałym stosunkiem do człowieka. Wśród autentycznych bohaterów i bohaterów w cudzysłowie, wśród rozwichrzonych głów, i szlachetnych fiksatów, Roman był może bardziej niż inni — człowiekiem.

li, kiedy są u szczytu świadomości, u szczytów miłości czy okrucieństwa.

Ten okres twórczości można by nazwać komunizującym, gdyby nie to, że w tym samym czasie piętnuje pisarz czerwonych władców, którzy „spontaniczną" wolą skazańców zbudowali kanał do Morza Białego. Kiedy w Indochinach dzieje się niesprawiedliwość, Malraux nie waha się rzucić Francuzom prawdy w oczy, by im powiedzieć co się robi w ich imieniu: „Każdy naród wyczerpuje swoją cierpliwość, nuży się tym, co trwa za długo. Nawet jeśli jest mordowany bezmyślnie..."

Patos czynu pociąga pisarza bardziej niż jakakolwiek doktryna. Bohaterowie Malraux nie mają nic wspólnego z mdłymi bojownikami, z komformistami pozbawionymi obaw. Dla nich nie ma spraw pewnych, prócz przejściowej równowagi na granicy śmierci.

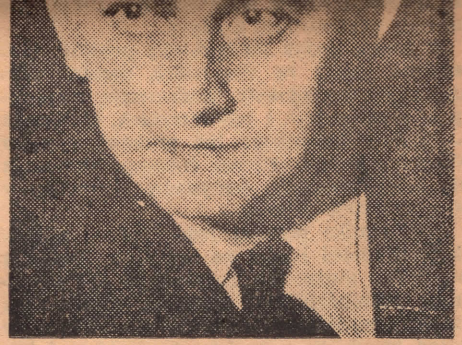
Malraux zawsze zaczyna działać jako pisarz i jako człowiek w chwili, kiedy inni ustępują, kiedy wszystkie złudzenia opadły. Dlatego teraz znowu pojawia się na arenie.

W 1935 roku ogłasza „Czasy pogardy", gdzie poczucie niewoli zewnętrznej wikła się z wewnętrzną wolnością.

Wybucha w Hiszpanii wojna domowa. Krwawe przedwojenne manewry, próba sił. Malraux, człowiek bez złudzeń, człowiek-dyletant, bierze w tej rozprawie udział. Tworzy eskadrę „Desperados" i rzuca ją do walki z legionem „Condor". Walczy z nim razem aż do upadku Malagi nie szczędząc siebie ani razu. Z próbnego pobojowiska Europy powstaje — „Nadzieja".

„Nadzieja" jest dramatyczną analizą rewolucji, kładącą znak równania pomiędzy ludźmi po obu stronach barykady. Barykada musi jednak pozostać i na tym polega dramat.

Wreszcie przychodzi rok 1940. Malraux zo-



André Malraux

Żona pisarza, którą dopiero teraz spostrzegłem, wkłada mu między rozstawione palce dłoni zapalonego papierosa.

— Bohaterowie pańskich książek to nie urzędnicy rewolucji, lecz członkowie brygad szturmowych, awanturnicy, misjonarze, condottieri, spadkobiercy landsknechtów... i święci... — dodaję, myśląc o Czenie.

Twarz ściąga mu się nagłym skurczem.

— Tak, moi ludzie... (mówi to, jak gdyby chodziło o ludzi żywych z hiszpańskich szturmówek czy z oddziałów Macquis, którymi dowodził)—moi ludzie — powtarza Malraux — to ci, którzy eksploatują do ostatecznych granic miłość czy nienawiść... nic nie może dla nich pozostać wpół drogi... to ludzie szukający siebie w pełni życia, bogacący się przeżyciami aż do śmierci...

Malraux zamyślił się.

— Teraz mówią — podjął po chwili — że dojrzałem do faszyzmu... Dojrzałem tak, jak do komunizmu, jeśli wziąć pod uwagę umiłowanie działania... Chcę by człowiek przezwyciężył narzucony los, by wyzwolił się z doli człowieczej (qu'il s libére de sa condition humaine). Chcę by stanął twarzą w twarz z losem i doświadczył gorącego oddechu własnej godności...

— Nazwano kiedyś pana „Archaniołem śmierci"...

— Tak, to Soupault... Czy pamięta pan słowa Garina? „Życie nic nie jest warte, lecz nic nie jest warte życia..." To jest moje wyznanie wiary... Ale musimy już kończyć... — powiada Malraux.

— Jeszcze jedno pytanie. Dlaczego pan staje znowu u boku de Gaulle'a?

— Myślę, że najwyższy czas, by dać wyraz swoim myślom i rozważaniom o konieczności ratowania Europy... Europy poprzez Francję...

Przychodzą mi na myśl słowa z „Doli człowieczej": idee muszą być przeżywane, a nie tylko pomyślane.

Ale już ogarnia pisarza tłum ciekawych. Tłum zadaje mu pytania, na które Malraux odpowiada błyskawicznie. Paruje ciosy dowcipem i precyzją odpowiedzi.

Długimi korytarzami zbliżam się do wyjścia. Na ulicy mży deszcz. Przed Palais des Beaux Arts stoją w sześciu rzędach piękne limuzyny. Limuzyny tych, którzy jedno pokolenie wstecz mieli skromny sklepik kolonialny. Ci na pewno nie myślą o katastrofie, a jedynie o własnym dobrobycie. Ich to czekają limuzyny.

Mnie czeka rozklekotany tramwaj i.. oczekiwanie...

Konstanty Kietlicz – Rayski

HENRYK MIRZWIŃSKI

NOKTURN

Za oknem wieczór szumi
jak wiatr w przymkniętej muszli.
Tej nikt nie rozumie
dziwacznej melodii,
lecz co wieczór w duszy
tą pieśnią się modlą
ludzie:

o jeszcze jeden dzień,
o jeszcze jeden sen,
o jeszcze trochę złudzeń.

Po moście nocy,
łączącym z jutrem dzisiaj,
suną okapturzeni mnisi,
wieszcze i prorocy,
łakomymi palcami
przebierając prośb różaniec:

o jeszcze jedno pawie pióro,
o jeszcze jeden złoty róg,
o jeszcze trochę złud.

Płynącej wolno w chmurach
księżycowej karocy
czepiają się dzieci ziemi
upartym „po co?" —
naiwnym „czemu?" —
żebrząc na darmo
o jałmużnę odpowiedzi.

Tęsknymi palcami twarz twoją ogarnąć
i czekać ranka odwiedzin...

UBEZPIECZONE PACZKI

do Polski, Francji, Czechosłowacji i Bryt. Strefy Niemiec, zawierające żywność, nową odzież, materiały, obuwie, etc., wysyła:

Związek Polaków w Afryce

Zamówienia w W. Brytanii przyjmuje oficjalny delegat:

Z. CYLKOWSKI, 21, Redcliffe Street, LONDON, S. W. 10.

Żądaj kompletnych cenników. 02